

3

NIEZLICZONYM OFIAROM WOJNY.

Bolesław Banach



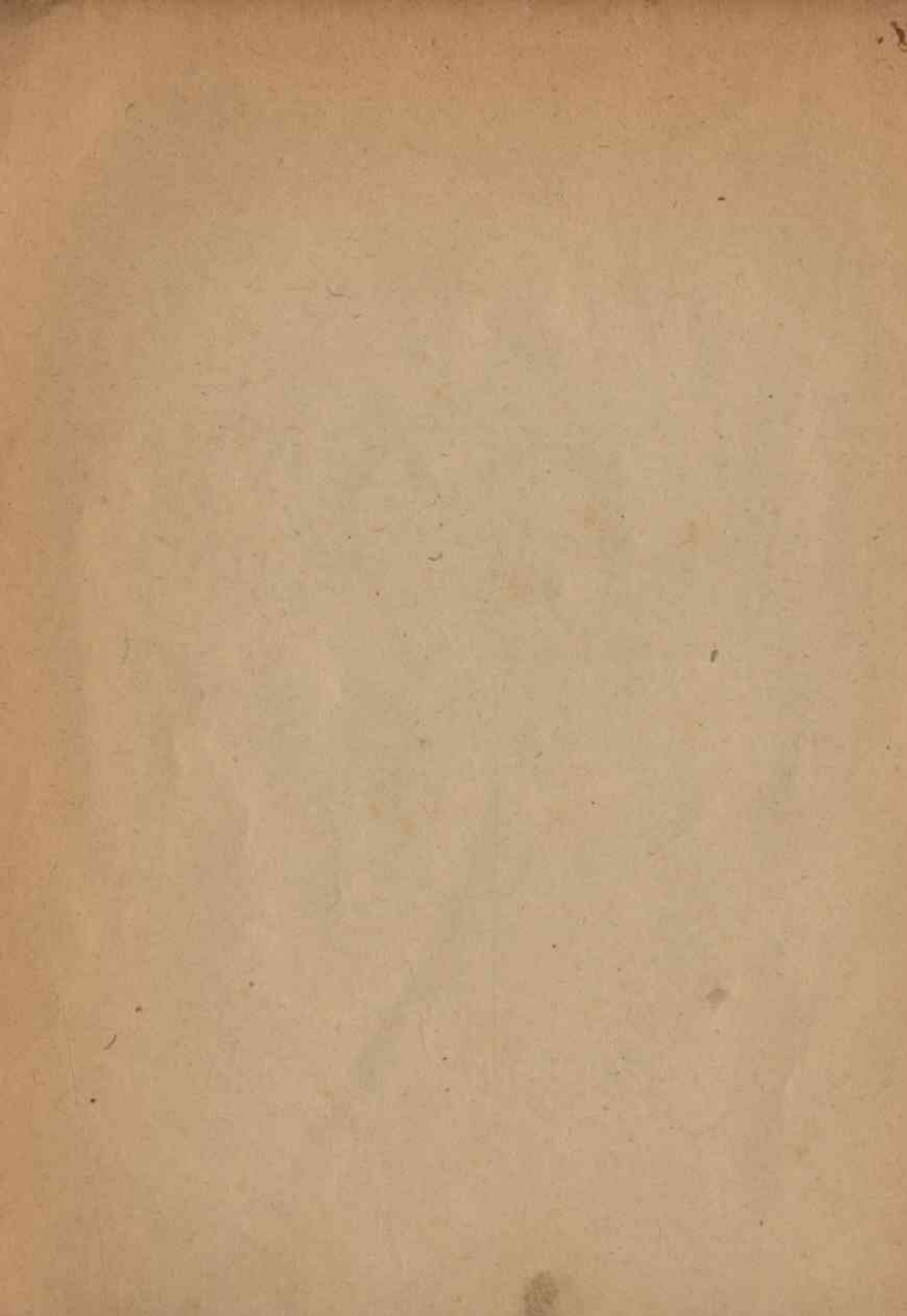
WARSZAWA

NIEZLICZONYM OFIAROM WOJNY

M. 350

1. Pol.

24. 18



3.
4084.
S. WŁOSZCZEWSKI.

NIEZLICZONYM OFIAROM WOJNY.

Z PRZEDMOWĄ H. DROGOSZEWSKIEGO.

• • • Ilustracje M. Wołoszynowskiej. • • •

Bolesław Banach

KIJÓW — 1917 R.

.. SKŁAD GŁÓWNY S. SROCYŃSKI ..

OKRĘGŁO-UNIWERSYTECKA 11 m. 16.

B-42454.



Biblioteka
W.M.C.S.
w Lublinie

Lit 1300, 6

K.239/56/403

Przedmowa.

Zbiorek niniejszy, do którego mam napisać kilka słów wstępnych, zamyka w sobie trzy niewielkie, napozór niczym z sobą nie połączone utwory, różniące się tematami, charakterem, nastrojem uczuciowym. Dlaczego zostały skupione pod jedną okładką?

Pierwszy utwór posiada wszelkie cechy aktualności. Może zawiera tęsknotę do jutra — gdy szańce można będzie i trzeba będzie zasypać. Bądź co bądź punktem wyjścia akcji, w nim zawartej, jest chwila obecna, chwila, gdy nie pługi, lecz kule działowe przeorują rolę. Uderza w wierszu omawianym epicki spokój, i spokojem tym oddala się on od zbyt częstego dziś szablonu, od nieszczerego patosu.

Epickie traktowanie przedmiotu pogodnie harmonizuje z próbą ujęcia pewnych podstawowych wartości życiowych. Obraz kmięcia-Piasta, który sprawi to niechybnie, iż ziemia zdeptana rano będzie miała wygląd polny, napawa spokojem, pewnością, że życie, praca, wola, że potęga bytu zwyciężyć musi.

Jakże innym jest utwór drugi. Nie rozwija się przed nami jednolity obraz, obrazy bowiem tu się spiesznie, gorączkowo tłoczą, usuwając jedne drugie. Brak tu pogody myśli, pogody uczucia. Całość przybiera charakter refleksyjny i rozwija się w szereg nie zawsze jasnych symbolów. Staje tu przed nami wieczysta, z chwilą bieżącą nie związana, wieczysta zagadka życia i śmierci.

I znowu powrót — w trzecim obrazku — do względnej przynajmniej pogody, która podkreśla kontrast, tak często przeżywany, wigilijnej beztroski i wesela i zadymki, po za jasno oświetloną komnatą.—W tej jasnej atmosferze błakają się jednak jakieś żałośnie wołania. Kogoś tu brak wśród tego wesołego, naiwną radością chwili wigilijnej objętego grona.

Mignął cień śmierci.

Niewątpliwie jest to dysonans. Lecz obecnie zaczynamy spostrzegać, że ów dysonans był stale obecny we wszystkich trzech utworach, tak różnych pod względem treści, bezpośrednio się narzucającej czytelnikowi pod względem nastroju i sposobu traktowania przedmiotu. Zagadnienie stosunku życia i śmierci staje się tu jedyną troską autora — w różny sposób rozstrzygane, a przynajmniej stawiane. Zagadnienie, może przez aktualność, przez fakt „niezliczonych ofiar wojny“ podkreślone, lecz bynajmniej w chwili bieżącej nie zamykające się, chwilą tą wyczerpać się niedające. Czy życie śmierci służy, czy śmierć życiu? Oto jednostka przeżywa w sobie liczne rozkwity uczuć, zamierzeń, odruchów... Liczne kolizye, powstające wewnątrz niej, lub płynące ze źródeł obcych, zewnętrznych, z widoków cierpienia i radości, z faktów istnienia i z faktów dążeń... I wszystkie te uczucia, odruchy rozpraszają się, gasną, stają się czymś martwym, obcym, stają się—pamiętką... Ciągłe narodziny i nieustająca śmierć w nas samych... W jakim to stosunku pozostaje do prawa życia? Co jest życiem istotnym, głębokim, co jest pozorem, cieniem, chwilą? Jest radość, pogoda, spokój, harmonija, jest pewność i realność rzeczy — i jest zamięnienie tej pewności i radości przez — jakieś echo przemijania, bólu, straty wiecznie obecnej.

Takie perspektywy wewnętrzne przesunął przed nami autor. Przynajmniej wydaje mi się, że je przesunął. Czy doszedł do harmoniji sam z sobą? Czy przynajmniej wieczne zagadki zostały wyraźnie i w pełni rozwinięte? Czy dojsć przejrzyste są symbole? Nie chciałbym tych kwestji tu rozstrzygać. Pragnąłbym jedynie tu podnieść powagę zamiaru autora i powagę traktowania przedmiotu.

A. Drogoszewski.

*Orat kmić ziemię
zdawna, bo kraj rolny.*



Dawno nie było na tej ziemi wojny,
Kmieć orał spokojny.

Siał. Zbierał przez tydzień. A w niedzielę strojny,
Czysty, poważny modłami cichymi

Łzawił:

By Bóg dobry dał na naszej ziemi
Pokój chrześcijański.

— Hej, orał kmieć ziemię zdawna, bo kraj rolny.

Wprawny, więc ziemię przeorze zdeptaną,
Zasypie szańce przez noc, by na rano
Ziemica szara miała wygląd polny.

* *
* *

Napotkał, kopiąc, ciała dwóch żołnierzy.
Zadumał się stary. Złożył je w okopy,
Przysypał ziemią... Gleby nalot świeży
Przypomniał mu mogiłę — to znów... złote snopy.

Zadumał się... Niegdyś Ociec — ze to człek był rolny —
Wykopał gdziesik kość — w zelazie kość ta była —
Mówił, ze tu kiedyś ludzi psesta siła,
Ze się pózniec tu masa tych ludzisków biła —
A wsyćko latego, zeby kraj był wolny.

* * *

Chłop uczuł, że się budzi skądciś ta zawziętość,
Ze biłby każdego, ktoby ziemię wziął.
— Te ziemię szarą, rozkopaną... świętość.
«Tak by to, psia jucha... nie patrzył, a ciął.»

Na rano ziemia miała wygląd polny.
Kobyłę zaprzął — miał już ją jedyną
I zorał, wygładził, zsiął zagon jarzyną,
Tak, jak zadawna... że to kraj jest rolny.

* * *

Aż kiedy spojrzął na zagon zorany, —
Że to go obrobił krwawej pracy siłą —
Wyrwał mu się jęk z piersi do Boga, do Panny
Najświętszej, by wojny więcej nie było.
By się spokojnie — po dawnemu — żyło —
Po kseścijańsku.

PUSZCZA.



Życie dać piersi może krzyk boleści,
Który przerazi roześmiane dziecię.
Może wywołać raz ostatni słowo
Z taką rozpaczą, że się ta nie zmieści
W sercu, i każde takie serce zgniecie.
Może wywołać myśli, piorunową
Włać moc — protest — nadludzkie pragnienia
I nie zostawić nic... nic... i nawet cienia.

Tego co było... Bo czy tamto było
Już nie wyszepcze żadna myśl wzburzona.

— Co się spaliło zgasto. Co się tliło
Zagaśnie — na twarzy już z bladym rumieńcem.
I wokół... znów kwiaty, z tych kwiatów korona...
Śmiech.. Ziemia, zboża przepasana wieńcem...
Pług — troska... Gniazdko... Słodycze uśpienia.
A z tego co było — nic.. nic.. i nawet cienia.

Lecz, czy ta boleść, rozpacz i szal myśli
Są choćby życia tylko małą częścią?
Umysł tu ludzki zachwiać się może,
Jeśli *widoczną* treść życia zakryśli.
Lepiej, niech nazwie to wszystko pamiętką,
Efektem, łatwym dla zmysłów w wyborze,
I jak te zmysły, ogromnie znikomem.

Życie jest puszczą. Śmierć ludzka wyłomem

Gałęzi – trzaskiem w pieśń grającym borze.
Więc kiedy wicher gałąź taką zmiecie
I dreszcz zostawi dla innych pamięci –
Dreszcz zmagania, który przeszywa przestworze
Na chwilę, bo potem nic już w głuchym świecie
Tryumfu rozpaczy chwilowej nie święci.
To taka rozpacz — trzask — już próchna kupy —
To nie jest PUSZCZĄ. To są w puszczy trupy.

Å trup — to pamiątka. Nagłe zaprzeczenie.
Początek dla oka nieuchwytnej treści...
Może tu kwiaty wyrosną obficie,
— I rysy czarne, strojne w zielenie, —
Może Mogiła GŁOS jaki wypieści
I wstrząśnie puszczą bez szelestu — skrycie.
Może się wzmoże Duch i, jak powoje,
Oplatać będzie bory, puszcze moje.

Mogła człowieka. Ile takich mogił mamy
Po cmentarzyskach, w przeoranej ziemi
Świeżych i dawnych. Czasem białe kości
Wyorzą pługi. «Pany to — czy chamy,
Czy marli ludzie od boleści niemi,
Czy serce się rozpękło bez obłędu — prościej?»
Chłop bezpłodnie nie myśli, znalazł kość i swemi
Rękoma ją pogrzebał: «niech użyźnia w ziemi».

Śmierć transformuje, przeinacza życia.
Stąd to mogiła jest historją całą —
Zawiera dziejów księgę, kryje dziejów ślady
Przed ciekawymi. I czasem z ukrycia
Ognikiem błędnym śledzi, paprocią pobielając
Na znak, że kryje w sobie dziwnych sił gromady,
Że ten pagórek mogilniano-żyzny
Zawiera wszystkie żywocia spuścizny.

A może w chwili ostatniej rozłamu
Okrzyk się dobył i uniósł po Borze.
Czy się przyłączył do dębów pogwaru,
Wśród sosen szmeru pozostał, wśród gamu
Brzóz? I czy tchnienie uniosło się Boże
I do Boskiego złało się oparu?

Tak. Tajemnicą na zawsze zostanie,
Czy w graniu dębów zdrowych—zwalonych czuć granie?

Widziałem, jak konał człowiek bardzo młody
Od kuli. Miał jeszcze wiele przytomności.
Rzadko się zdarza wiedzieć, że się kona
I chowa się nadzieję. Tej nie miał ostody.
Zczerniały — był jak upiór, co życia zazdrości.
Myśl mu nadludzko była wytężona.
Nerw każdy spełniał pracę. Każda w mózgu żyła
Sen życia, przeplatany okropnością, śniła.

Pamiętam milczał długo. Raz po raz na twarzy
Mieniły się wyrazy niestychanie dziwne.
Pamiętam stłumił wybuch. Wszystkie zebrał siły.
Skupia się. Zapragnął. Jeszcze się nie waży
Wybuchnąć bólem. Jeszcze oczy sztywne
Kryją morze rozpaczy. Już go opuścili
Władania. Złamany ster tej ludzkiej duszy.

W życiu jest siła, co skupia i kruszy.



KOLEDA.



I znowu święta. Znow dzieci gromadka
Otoczy drzewo, gdzie się palą świece.
Biały opłatek do rąk weźmie matka
I, jak zadawna... Najświętszej Opiece
Skarb najcenniejszy – dziecko swe – poleci.
I wszystkie wtedy jej uczucia gasną,
A jedno tylko... wielkie – ma dla dzieci.

.....
Palą się świece na choince jasno.

I połączane zwisają orzechy.

.
Noc... Wicher śniegiem zasypuje drogi.
Dmie z wielką siłą. Czasem głuży śmiechy.
Więc dziaduś stary, a być musi srogi,
Bo miotłę dźwiga i srebrzystą brodę
Tu się też schronił. Z drzewka się nachyla.
I dźwięczą śmiechy silne.. zdrowe.. młode..

.
Chrystus się rodzi. Chwila osobliwa.

Na stole jadła dostatnio i picia –
Znak, że nie gości w domu nędza licha.
Więc, zamiast troski – radość wielka z życia.
Gwarno... Zadyмка na dworze ucicha.

Tak jak zadawna.

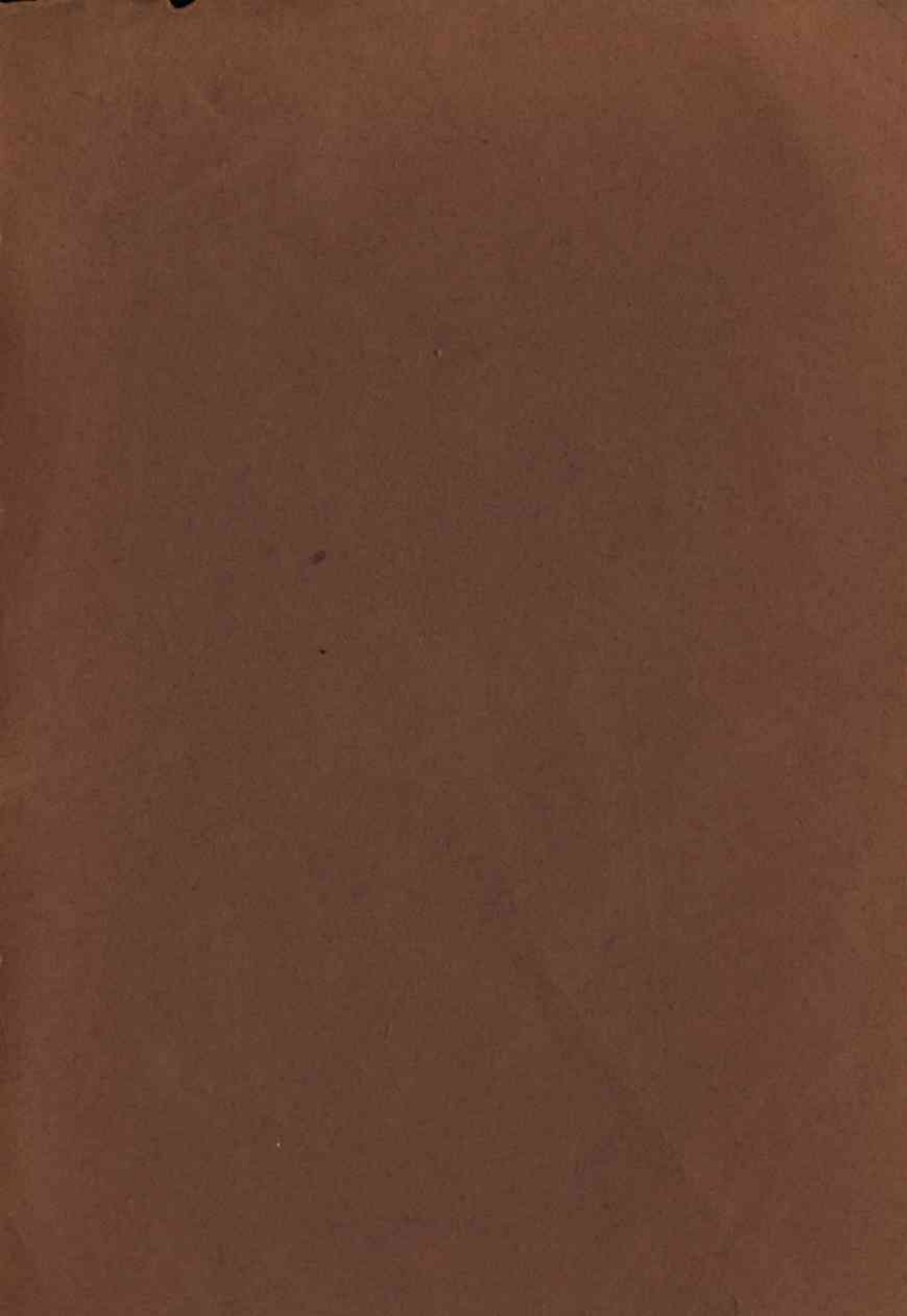
Czasem w tej świetlicy
Cień się nad dzieci prześlizgnie gromadką.
Bacznie kobiety ucztujące zliczy.
A jednej szepnie: — Ja skołałem, matko.

Tak jak zadawna.

I czasem wśród gwarów
Twarz się wesółą bladą nagle stanie –
To zaszeleścił wiatr wśród drzew konarów
I zaniósł matki rozpaczliwe łkanie,
Co dziś zrodziła martwym swoje dziecię,
I szepcze komuś z starszych naszych braci:
Zacoście dziecko umęczyli, kaci?

.....
Gwiazdzista noc.. I jasno jest na świecie.

Na drzewku zwisają złoczone orzechy.
A dziadek pochyla usrebrzoną brodę.
I, jak zadawna, wkoło dźwięczą śmiechy.
Śmiechy rozgłośne, silne, zdrowe, młode.



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B | 42454 |